

RYSZARD GROMADZKI: Czy polska demokracja jest „przedstawicielska” tylko z nazwy? Rzeczywiście doszliśmy do momentu, jak przekonuje Paweł Kukiz, w którym konieczna jest reforma systemu wyborczego?

BARTŁOMIJ WRÓBLEWSKI: Nie uważam, żeby zmiany w systemie wyborczym należały do najbardziej potrzebnych zmian w Polsce. Chociaż oczywiście ciągła refleksja, monitoring rozwiązań wyborczych są wskazane. Nie ma powodów jednak, żeby w granicach tego, co jest określone w konstytucji, nie mogły toczyć się dyskusje na temat silniejszego spersonalizowania tego systemu. Bo taka jest idea Pawła Kukiza i jego środowiska politycznego.

To spersonalizowanie, o którym pan mówi, ma polegać na umożliwieniu biernego prawa wyborczego wszystkim dorosłym Polakom, bez żadnej legitymacji partyjnej. To właśnie taki model od lat promuje Kukiz...

Tak. Jest to postulat, który można uzasadniać regulacjami konstytucyjnymi, tymi, o których pan mówi, czyli biernym prawem wyborczym. Trzeba jednak pamiętać, że konstytucja mówi także, że wybory do Sejmu mają charakter proporcjonalny. Zakładając, że nie dochodzi do żadnych zmian w konstytucji, musimy się poruszać w określonych w niej ramach. Konstytucja pozostawia pewną możliwość w ramach proporcjonalnego systemu wyborczego, spersonalizowania go, czyli przyjęcia takiego rozwiązania, w którym parlamentarzyści są wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych, a przynajmniej część parlamentarzystów jest wybierana w jednomandatowych okręgach wyborczych, przy jednoczesnym założeniu, że ostatecznie skład parlamentu musi być proporcjonalny. Musi odpowiadać woli społeczeństwa wyrażonej w wyborach.

Znamy takie systemy, np. system niemiecki, które są spersonalizowane, a jednocześnie proporcjonalne. W dyskusjach toczonych w Polsce na ten temat mówi się o systemie mieszanym, ale jest to o tyle nieporozumienie, że ściśle rzecz biorąc, system mieszany prowadziły do sytuacji, w której część mandatów obsadzona jest przez osoby wybrane w ramach systemu większościowego, a część proporcjonalnego. My o takim rozwiązaniu nie mówimy. Mówimy o sytuacji, w której część osób wybierana jest w okręgach jednomandatowych, ale ostateczny skład parlamentu powinien być proporcjonalny. Odpowiadać w proporcjach temu, o czym zdecydowało społeczeństwo w wyborach.



Z Bartłomiejem Wróblewskim, posłem PiS, członkiem sejmowego zespołu ds. reformy systemu wyborczego rozmawia Ryszard Gromadzki

Operacja wysokiego ryzyka

FOT. GREGORZ KRZYZEWSKI/FOTONOWSPORUM



Czy po takiej operacji bliżej nam będzie do realnej demokracji przedstawicielskiej, czy to tylko rodzaj politycznej kosmetyki systemu, który w swej istocie pozostanie taki sam?

Nie nazwałbym tego kosmetyką. Tego rodzaju możliwość urealnienia biernego prawa wyborczego każdego obywatela, w większym stopniu personalizuje politykę. Można powiedzieć, że każdy wyborca ma swojego posła.

Czy ogranicza także partyjną dominację systemu wyborczego. Idée fixe Pawła Kukiza jest przecież odpartyjniowanie naszego życia publicznego, w tym wyborów...

Na razie mówię o korzyściach płynących z takiego rozwiązania. W tym sensie nie jest to tylko zabieg kosmetyczny. Jednocześnie trzeba powiedzieć, że jest

to operacja sporego ryzyka. Po pierwsze, dlatego że paradoksalnie może się okazać, iż wzmacnia to upartyjniowanie, o którym mówi Paweł Kukiz. Widzieliśmy to po zmianach ordynacji wyborczej do Senatu. Wcześniej senatorowie byli wybierani w niejednomandatowych okręgach wyborczych i udział senatorów niezależnych był wówczas większy w Senacie niż obecnie. Jednym słowem – ta zmiana niekoniecznie musi prowadzić do tego, czego chciałby Paweł Kukiz. Po drugie, wprowadzenie tej zmiany może mieć bardzo poważne konsekwencje dla geografii parlamentarnej. Jeśli ostatecznie liczba parlamentarzystów będzie się zgadzała, to znaczy będzie odpowiadać proporcjom wyrażonym przez społeczeństwo, to może się okazać, że

w Polsce stanie się to, co widzimy w Stanach Zjednoczonych. Polska może zostać podzielona na połowę, z czego wszyscy parlamentarzyści prawicy będą pochodzili ze wschodniej Polski, a w zachodniej Polsce będą wyłącznie posłowie liberalni i lewicowi.

Czyli niezamierzonym skutkiem reformy systemu wyborczego może być wylanie dziecka z kąpielą...

Dlatego dobrym pomysłem jest to, że najpierw powstaje zespół, który ma te zmiany gruntownie przemyśleć, a dopiero później przełożyć się to na konkretne propozycje. Powtórzę: jest to operacja wysokiego ryzyka, z której konsekwencji, jak myślę, nie wszyscy zdają sobie sprawę. Może się okazać, że zalety postulowanych zmian są iluzoryczne. Z drugiej strony jednak może wyjść na to, że obawy z nimi związane są przesadzone, bo można znaleźć mechanizmy, które ograniczają to ryzyko.

Czy te mechanizmy, które pozwoliłyby skutecznie wdrożyć zmiany w systemie wyborczym, sprawić, że będzie on bardziej przyjazny obywatelom, mogą wejść w życie jeszcze przed kolejnymi wyborami? Oczywiście zakładając, że odbędą się one w konstytucyjnym terminie, czyli jesienią 2023 r.

Wydaje mi się, że nie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, każda zmiana prawa wyborczego będzie wiązała się z zarzutem części opozycji, że ma ona służyć rządzącym. Między innymi z tego powodu należałoby myśleć o tym, że jeśli takie rozwiązania miałyby być przyjęte, to powinny być zastosowane nie przed nadchodzącymi, ale przed kolejnymi wyborami. Po drugie, powodem powściągliwości co do wprowadzania zmian jest to, co powiedziałem wcześniej. Ta propozycja ma swoje zalety, ale łączy się też z ryzykiem. Sprawa musi być dobrze przemyślana. Czasu do wyborów jest na tyle dużo, żeby takie prace przeprowadzić, ale za mało na gruntowną analizę i dokonanie zmian w ustawie, tak żeby ta znalazła zastosowanie już w 2023 r.

Czy Paweł Kukiz z całą swoją chimerycznością i temperamentem jest w stanie zaakceptować taką długofalową perspektywę dla kluczowego dla siebie projektu? Czy nie trzaśnie kiedyś drzwiami i nie zostawi PiS z kłopotem w postaci ciułania większości do każdej istotniejszej ustawy?

Myślę, że Paweł Kukiz rozumie, iż nie jest to sprawa, którą da się szybko prze-

Mówimy o sytuacji, w której część osób wybierana jest w okręgach jednomandatowych, ale ostateczny skład parlamentu powinien być proporcjonalny

prowadzić. Od dawna byłem orędownikiem tego, żeby środowiska Kukiza, myślę zarówno o centrali, jak i lokalnie o Wielkopolsce, integrować z obozem Zjednoczonej Prawicy. Myśleć w kategoriach Zjednoczonej Prawicy Plus.

Nie mam żadnych wątpliwości, że sam Paweł Kukiz i ludzie tworzący Kukiz'15 to niepodległościowcy i wolnościowcy. Osoby, z którymi dzielimy bardzo wiele przekonań wzbogacających Zjednoczoną Prawicę o ciekawe propozycje antykorupcyjne, JOW-ów czy propozycję dotyczącą sędziów pokoju. To dzięki ich inspiracji otwieramy dyskusję na temat pewnego spersonalizowania systemu wyborczego. Myślę, że to jedna z dwóch ważnych propozycji Pawła Kukiza, które wiążą się z największym ryzykiem. Dlatego ta sprawa powinna być gruntownie przemyślana.

A ta druga obarczona dużym ryzykiem propozycja Kukiza to...

Mam na myśli pomysł dnia referendalnego. Jest bardzo duża liczba spraw, które nie nadają się do tego, żeby rozstrzygać je w referendum.

Trudno rozstrzygać w referendach o kategoriach stricte moralnych...

Powiedziałbym, że nie tyle o referendach dotyczących kwestii moralnych, ile o referendach, w których decydujemy o podstawowych prawach człowieka. Trudno w referendum decydować, kto jest człowiekiem. Trudno decydować, czy komuś należy się prawo własności. Trudno dyskutować o wolności sumienia. W wypadku tego postulatu nie wykluczałbym jakiejś formy zwiększenia udziału referendów w procesie stanowienia prawa. Wydaje mi się jednak, że praktyczne urzeczywistnienie tej pięknej idei jest po prostu trudne. W całym szeregu kwestii społecznych instytucja referendum musi być stosowana z całą ostrożnością. Weźmy na przykład kwestię COVID-19. Biorąc pod uwagę zmienność danych i informacji naukowych na ten

temat, wiarygodność tych informacji, zmienność nastrojów społecznych, widzimy, że jest to obszar, który jeśli byłby poddany referendum, to mógłby przynosić bardzo różne decyzje.

Potencjalnie bardzo niebezpieczne na przykład dla swobód obywatelskich...

Myślę nie tylko o kwestiach swobód obywatelskich, lecz także o racjonalnej polityce. W tym wypadku mamy do czynienia z wysokim poziomem emocji społecznych, które mogłyby powodować, że decyzje referendalne byłyby zupełnie niespodziewane. To jest ta zasadnicza wątpliwość, która jest wskazywana od dziesięcioleci, jeśli chodzi o sprawę instrumentów demokracji bezpośredniej.

Inną sztandarową propozycją Kukiza, która była podstawą porozumienia programowego z PiS, jest wprowadzenie instytucji sędziów pokoju. Czy lepszym rozwiązaniem nie byłoby przywrócenie do naszego systemu sędziowskiego innej instytucji znanej z czasów II RP? Myślę o przysięgłych. Czy przysięgli nie przydaliby waloru sprawiedliwości naszemu sądownictwu?

Myślę, że ta tradycja jest w Polsce martwa. Znamy ją raczej z filmów.

Najczęściej amerykańskich...

Dokładnie. Wiem, że jest pokusa recepcji takich rozwiązań. Jednak dzisiaj trzeba powiedzieć, że byłaby to instytucja niejako sztucznie wprowadzona, bo nie ma u nas żywej tradycji sądów przysięgłych. Dlatego ten pomysł wydaje mi się trudny do zrealizowania. Widzimy to choćby na przykładzie ławników. Idea była dobra, chodziło o uspołecznienie wymiaru sprawiedliwości, ale w praktyce jest to trudne także dlatego, że brakuje chętnych. I na ogół nie odgrywają one istotnej roli w składach sędziowskich, w których zasiadają. Przewagą instytucji sędziów pokoju jest przejście przez nich prostych spraw i tym samym odciążenie systemu sądowniczego, sprawa jego uspołecznienia jest tu wtórna. Moja intuicja jest taka, że sędziami pokoju powinni być raczej prawnicy, sędziowie. Co więcej, wbrew narzucanej logice powinni to być raczej sędziowie z dużym doświadczeniem. Danie władzy szybkoego rozpatrywania nawet prostych spraw oznacza przekazanie dużej odpowiedzialności. Nie powinny tego robić osoby zaraz po studiach prawniczych, aplikacji czy nominacji sędziowskiej.